

pominięty, wydziedziczony, wyrzucony poza oficjalny dyskurs, trafia wreszcie na wdzięczny temat prowincjonalnego miasteczka jako przestrzeni w podobny sposób odrzuconej i nieoswojonej, położonej na uboczu, wzniosłej i trywialnej zarazem, wielkiej i małej. Takiego opisu doświadczyliśmy w niektórych utworach z następnymi książkami poety, zaś z interesującą sublimacją tego tematu mamy do czynienia w zbiorze „Widok ustronny” będącym moim zdaniem największym dokonaniem w dorobku autora.

I okazuje się, że temat blokowisk wielkiego miasta jest tu tematem nabytym, zaś temat miasteczka jest tematem osobistym, dlatego w wierszach wypełniających tę książkę brzmi tak wiarygodnie. Autor wreszcie zajął się sobą, swoim dzieciństwem, młodością, splecioną genealogią znaczeń pierwszych. Opis dojrzewania w miasteczku nosi znamiona opisu dojrzewania w ogóle, dojrzewania do podjęcia brzemienia, ciężaru losu. Na to nakłada się zdystansowane spojrzenie po latach, chłód z lekka ironicznej obserwacji, spojrzenie dojrzałego mężczyzny wpadającego od czasu do czasu do miasteczka. Zazwyczaj po to, by uczestniczyć w smutnych obrzędach świadczących o uciekającym czasie. Zadziwia go to, jak miasteczko trwa nieporuszone i to, że sentymentalno-staroświecka substancja świata na uboczu jest wieczna, że nie naruszył jej zęb czasu, a rytuały polityki czy gesty historii spływają po niej jak po kacze, objawiając się tylko mechaniczną zamianą nazwy ulicy z Lenina na Jana Pawła II. Jako mieszkaniec i adorator podobnego miasteczka, w którym wszystkie ulice bez przerwy uciekają gdzieś w bok i biegną pod górę, podobnych wspomnień i obyczajowych klimatów, muszę przyznać, że obserwacje poety są trafne, a ich poetycki wyraz w swojej powściągliwości i rzeczowości nader udany.

Miasteczko nie

*Miasteczko mówi nie
z czym by się nie poszło*

*Nie bo nie
kiedy już nie ma nic na nie*

*Wszystko co było
imienia Lenina*

*teraz nosi imię
Jana Pawła II*

*Lecz ono nadal
jest na nie*

*Ale świat ma miasteczko
a miasteczko półświatek*

*W tym błędzeniu
w podniebnych zaułkach*

I tak, proszę państwa, jak świat ma miasteczko, a miasteczko półświatek, literatura ma swe różne litery rozsiane w przestrzeni, która się zatowizowała, rozbiła i podzieliła.

Jedni o drugich nic nie wiemy, a każdy klub literacki ustala hierarchię na własną rękę. Są kręgi, środowiska, getta i półświatki. Ale warto nieraz wyrwać się z własnej niszy, by poszukać czegoś ciekawego w innej. Warto opuścić miasteczko, by przeczytać zbiorki poetyckie wydane w nakładzie kilkuset egzemplarzy i jakby wstydliwie chowane przed światem. Oto prawdziwe wyzwanie dla czytelnika naszych czasów, wyzwanie dla chcącego się rozwijać poety, wyzwanie dla krytyka. Oto możliwość zaskakującej przygody. Dziękuję Wojciechowi Łęckiemu za podróż i przygodę.

Karol Maliszewski

Senne impresje

*Muzyka w duszy może być słyszana
przez wszechświat.*

Lao Tzu

Nigdy w życiu nie widział czegoś równie pięknego!

Nigdy...

Nie mógł oderwać wzroku od tego widoku.

Fortepian stał pośrodku łąki, łamiąc zieleń swoją głęboką czernią. Wieko było podniesione, a klawiatura odsłonięta. Obrotowe krzesło czekało na godnego tego instrumentu muzyka. Lecz on nie był muzykiem, nie miał słuchu, ni głosu, nie miał nawet poczucia rytmu. Jego pojawienie się na fortepianowej łące było dziełem przypadku, po prostu gdzieś szedł, przechodził tędy, być może po chleb, może książkę, być może po buty, nie wiedział...

Fortepian kusił go coraz bardziej, szeptał zaklęcia, odprawiał rytualne inwokacje, bezczelnie czarował swoim istnieniem...

Łśniący kirem instrument stał pod sędziwym cedrem, który nie wiadomo jakim cudem zachował się na łące.

Jej soczysta zieleń, dostojność drzewa i piękno instrumentu tworzyły nierozzerwalny obraz. Człowiek wiedział, że jest profanem, że pojawił się w tym miejscu nieproszony przez nikogo, był pewien, że jest pospolitym intruzem, postacią z innej, gorszej rzeczywistości. Stał zażenowany katując się kompleksami.

– Jakiś ty piękny – nadludzkiem wysiłkiem wydusił ledwie słyszalny szept. – Piękny!

Spojrzał na wiekowe drzewo, które niczym olbrzymi strażnik pilnowało dostępu do fortepianu. Jego grube konary ocieniały instrument, aby lakier nie wyblakł od słońca, a może nawet pilnowały dostępu do niego. Któż to mógł wiedzieć? Na pewno nie on. Ten, jedynie wiedział, był tego pewien, że ma usiąść przy klawiaturze i zagrać! Wydobyc z swej duszy tę pieśń, którą nosi od zawsze, te dźwięki, które słyszał w swoich snach. Tak, tego był pewien, a fortepian wiedział o tym. Wiedział o tym, i dlatego przywołał go, a wołał

długo, całymi latami. Dlatego nie mógł pozwolić, aby mężczyzna teraz zrejterował, czekał na niego tak długo...

– Podejdz do mnie, usiądź, połóż jedynie swe palce na klawiaturze, zamknij oczy, i graj... – kusił.

Człowiek obejrzał się, potem rozejrzał na boki, po czym zrobił krok w kierunku instrumentu, i wtedy usłyszał westchnienie drzewa. Królewski cedr najpierw zaskrzypiał, potem delikatnie zaszumił, dźwignął swoje konary, zapraszając mężczyznę do kolejnych kroków. Ten westchnął i zdecydowanie ruszył w kierunku instrumentu, usiadł na krawędzi stołka, rozłożył palce nad klawiaturą, po czym zastygł na chwilę niczym woskowa figura w muzeum madame Tussaud, czekając aż melodia, którą nosił w sobie, najpierw zakotłuje się gdzieś w okolicach przepony, a następnie zawładnie jego dłońmi!

I palce zdrząły w paroksyzmie jakiegoś szalonego natchnienia, onirycznej weny, czerpiąc z Mozarta, Chopina, Ravela, Rimski-Korsakowa, free jazzu, folku, i całego wachlarza muzyki, których to gatunków nie potrafił zdefiniować!

To było szaleństwo w najczystszej formie...

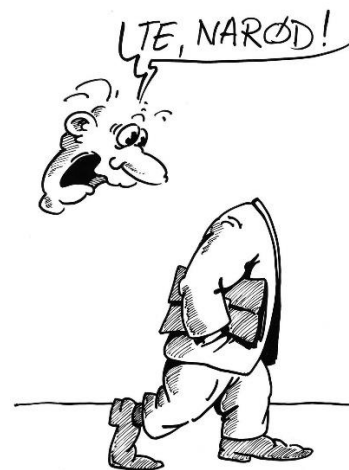
Żdźbła traw falowały w rytm muzyki, drzewo akompaniowało tubalnym basem, tużin utkanych z mgieł i rosy nimf zniewolił człowieka, drzewo i fortepian, zamykając wszystko w wirującym kręgu. Człowiek grał – i to jak grał – wtopił się w muzykę całym sobą, komórki jego ciała zamienione w magiczne nuty kłębiły się nad klawiaturą, potem nad fortepianem, powielając się coraz bardziej, coraz bardziej...

Zamieniając się w kwiaty, ptaki, kolory tęczy...

A on grał i grał, zatracając się w muzyce coraz głębiej, zanurzając w krystalicznej czystości głębości, która jedynie może się przyśnić! Aż wreszcie uwolnił Ego, zrzucił balast życia, wzbijając się na wyżyny prawdziwego Bytu, rozplywając się w Najczystszy Dźwięku, z nadzieją że już się więcej nie obudzi...

Bo po co?

Miroslaw G. Majewski



Rys. Sławomir Łuczynski